



ROZMOWA O ELITACH

Czy inteligencja należy do elity? Jak czasem

MARCIN KULA

Rola inteligentnego człowieka jest znacznie trudniejsza do zdefiniowania niż rola głupka, a coś dopiero gdy mowa o roli inteligenta. W przypadku tej ostatniej kryterium definicyjnym jest chyba niewykonywanie pracy fizycznej. To kryterium nie obejmowałoby wszakże dawniejszej arystokracji ani notorycznych leniuchów, którzy w jakiś sposób mają zabezpieczone środki do życia, ani ludzi, którzy z różnych powodów nie mogą pracować. Czy jednak taka definicja obejmowałaby maszynistę współczesnej lokomotywy lub pilota samolotu? Pytanie też, od kiedy można mówić o roli inteligenta. Odniesienie jej do średniowiecznego scribego najpewniej byłoby ahistoryzmem. Od kiedy można też mówić o wyodrębnionej warstwie społecznej inteligencji? W Polsce w czasach stanisławowskich funkcjonowało od tysiąca do trzech tysięcy ludzi, którzy wykonywali prace, jakie dziś byśmy zaliczyli do inteligentnych. W XIX w. rośnie liczba wykonawców zawodów inteligentnych, od lat czterdziestych tak się je nawet określało – ale czy to już moment powstawania roli inteligenta? Jeśli tak, to można zauważyć, że ta współczesna lista zawodów inteligentnych bardzo różni się od dawnych. Kiedy prawnicy zaczęli być postrzegani bardziej jako prawnicy niż jako szlachta, z której często się wywodzili? W Księstwie Warszawskim, które w ogóle przyniosło wiele działań modernizacyjnych, dano prawa wyborcze „obywatelom znamienitych talentów”, a zawody umysłowe zaczęto podatkować (to nie najmniej ważny wyznacznik!)¹. W niektórych zawodach kontrast z dzisiejszymi czasami wyjątkowo rzuca się jednak w oczy. Przecież do pewnego momentu lekarze nie byli zaliczani do inteligencji, to byli w gruncie rzeczy rzemieślnicy. Zwłaszcza chirurgów i dentystów tak traktowano.

W okresie międzywojennym inteligencja jako grupa była bardzo wyraźna, podobnie jak zawody powszechnie zaliczane do inteligencji. Z kolei w PRL-u, jako że ludzi pracujących fizycznie, z robotnikami na czele, oficjalnie wyjątkowo ceniono, to zawody inteligentne, w końcu też pożądane, nawet jeśli na ogół niżej płatne, uszlachetniono w nazwie. Wprowadzono termin „inteligencja pracująca” (my często pisaliśmy „int.prac.”). Nie uznaliśmy go jednak za specyficzną rolę społeczną, raczej za termin wynikający z lansowanej w ówczesnej ideologii mitologii pracy ludzkiej (źródło to samo, co nazywanie domów wypoczynkowych niektórych instytucji oraz stowarzyszeń „Domami Pracy Twórczej”). Sam w każdym razie, w licznych PRL-owskich kwestionariuszach określałem siebie i rodzinę jako „inteligencję pracującą”, a nie jestem pewien, czy akurat taką rolę społeczną pełniłem.

Pytanie o rolę inteligenta można rozszerzyć przez ponadjednostkowe spojrzenie na ludzi, których ewentualnie tak określamy. Swego czasu było łatwiej powiedzieć, że inteligencja

to ci, którzy posiadali pewną wiedzę i umiejętności, ale z drugiej strony ci, którzy tworzyli grupę o wyodrębnionym znaczeniu w Europie Wschodniej i w Ameryce Łacińskiej. W jakimś stopniu także w Chinach, w Indiach, czy w Afryce (w tej ostatniej zwłaszcza w wypadku tamtejszych studentów studiujących na europejskich uniwersytetach). Można jeszcze postawić pytanie, czy kwalifikujemy jako inteligencję grupę wykształconą na pewnym poziomie, czy jednocześnie korzystającą ze swego wykształcenia dzięki zatrudnieniu w pewnych zawodach oraz instytucjach. Ukształtowanie się takiej grupy i odgrywanie przez nią – zbiorowe oraz indywidualne – rozważanej roli często wiązało się z tym, że łatwiej było zdobyć wykształcenie, niż znaleźć dla niego zastosowanie. Stąd rola inteligenta stosunkowo łatwo łączyła się z rolą buntownika na różnych polach – właśnie z powodu trudności objęcia zawodowej roli. Czy to jako buntownicy, czy jako urzędnicy państwowi, ci ludzie należeli jednak do elit swoich krajów. Kapuściński ciekawie zresztą zauważył: „Charakterystyczne dla ewolucji politycznej inteligenta latynoskiego jest to, że zaczyna działać na lewicy, a kończy – na prawicy. Zaczyna od udziału w antyrządowej demonstracji studenckiej, a kończy za biurkiem ministerialnym. Od młodego buntownika do starego biurokraty – taka jest jego droga”².

Kolejne pytanie brzmi: do kiedy można mówić o roli inteligenta? Inaczej: czy dziś jeszcze ona istnieje? Wymieniane tradycyjne przymioty inteligencji – wyższe wykształcenie, wiedza na pewnym poziomie, poczucie obowiązku wobec innych grup społecznych, znajomość pewnego kanonu lektur i dobra umiejętność porozumiewania się, dziś albo są szeroko rozpowszechnione (pewna wiedza), albo nie istnieją (kanon lektur!), albo istotnie ewoluowały (porozumiewanie się!)³.

Koncept „elity”, no i rola członka „elity”, stały się znacznie ważniejsze i użyteczniejsze niż inteligencji oraz inteligentów⁴. Zaliczamy do elity ekspertów, różnych specjalistów, znanych polityków, wybitnych sportowców, intelektualistów (tych ostatnich wyodrębnianych jako grupa pewno od sprawy Dreyfusa). Rola „elity” jest jednak znacznie mniej precyzyjna niż rola „inteligenta”, określona przez wymienione wyżej przymioty. Mogą być elity na różnych szczeblach organizacji społecznej i w różnych dziedzinach życia. Wejście do elity jest trudniejsze niż swego czasu do inteligencji. W dużym stopniu trzeba być szerzej znanym dzięki środkom masowego przekazu, a nie „tylko” posiadać pewne kwalifikacje. Niestety nie wchodzi się już do niej, jak kiedyś, na przykład jako nauczyciel – i to ledwo zarabiający na utrzymanie. Łatwo natomiast wskazać bardziej lub mniej nam sympatycznych członków elity, którzy nie mieli lub nie mają żadnych z wymienionych i porównywalnych przymiotów. ▶

¹ Maciej Janowski, *Narodziny inteligencji 1750–1831*, IH PAN, Wydawnictwo Neriton, Warszawa 2008 (*Dzieje inteligencji polskiej do roku 1918*, red. Jerzy Jedlicki, t. I), s. 110–111, 132, 158.

² Ryszard Kapuściński, *Lapidarium*, Czytelnik, Warszawa 1990, s. 18 (notatka poczyniona w Meksyku w 1972 r.).

³ Nawiązuję do wykładu prof. Andrzeja Borowskiego, *Elita – komplement czy obelga?* (PAU, Kraków 25 IX 2023).

⁴ Za zwrócenie uwagi na wyparcie konceptu „inteligencji” przez „elity” dziękuję p. Jakubowi Ekierowi.

► Cechą elit jest też ich wymiana – przez zastępowanie lub kooptację. Może ona następować w różnych procesach społecznych, także w wypadku wojen czy fal migracyjnych. Może być przeprowadzana celowo przy zmianach ustroju, zwłaszcza przy zmianie ku dyktaturze lub autorytaryzmowi. Zarówno komunizm, jak faszyzm tworzyły wielkie mechanizmy awansu społecznego. Mechanizm stworzony przez Stalina był bardziej pojemny niż hitlerowski i windował ludzi z głębszych nizin, ale ten drugi też efektywnie działał. Te mechanizmy prowadziły do wymiany elit, wymiany skądinąd stanowiącej istotny i wręcz zaplanowany cel. To miały być własne elity. Populizmy często kooptowały (bardziej niżby wymieniały) nowych ludzi do elit – też często posługując się mechanizmem awansu społecznego. Można jednak wymieniać elity w ramach płytszej przemiany politycznej, na różnych poziomach organizacji społecznej, dla tworzenia zaplecza dominującej grupy i bez awansu społecznego w dużej skali i z nizin. Można usuwać poprzednie elity – spychając w dół grupy lub indywidualnie ludzi do nich należących. Można na przykład wymieniać

sędziów – otwarcie deklarując, że chce się wymienić tę elitę. Można powiedzieć jednemu z czołowych polityków, iż jakoby widać po nim, że wychowywał się na podwórku – a więc jakoby nie powinien funkcjonować wysoko. Można wymienić personel zarządzający w różnych gałęziach ekonomii, stworzyć nowe uczelnie czy dodatkową akademię mężów i dam uczonych. Co też ważne, można nie dopuszczać pewnych grup lub ludzi do elit – i to na różnych szczeblach organizacji społecznej, od terytorialnych poczynając, a na zawodowych czy politycznych kończąc. Można wręcz zesać grupy lub indywidualnie poszczególnych ludzi na Syberię, bądź wprost ich wykończyć. Prawda, że niejedni potępieni – jeśli przeżyli – wchodzili potem do czołowych elit. Zepchnięcia niejednych ludzi i grup opinia publiczna nie akceptowała – a uznanie przez nią jest nie najmniej ważnym kryterium uczestnictwa w elicie. Na niejednym więzieniu na świecie wiszą tablice informujące, kto też w nich siedział, czasem ofiarom stawia się pomniki – prawda, że czasem obalane przez nieprzychylnych im członków jeszcze późniejszych elit.

MARCIN KULA

Uniwersytet Warszawski (emeritus)

ROZMOWA O ELITACH

Elita naukowa

Kiedy zastanawiam się nad zdefiniowaniem pojęcia elity naukowej, intuicyjnie wiem, kogo ono dotyczy, natomiast warto zaznaczyć, że pojęcie to może się łączyć z negatywnymi skojarzeniami (elita jako grupa obdarzona przywilejami, wykluczająca pozostałą część społeczności). Dlatego wolę mówić o autorytetach, mentorach, mistrzach w naszym gronie. Kluczowe dla osiągnięcia takiego statusu są według mnie dwa elementy: są to badacze, którzy, po pierwsze, dokonali czegoś znaczącego w nauce i są powszechnie kojarzeni w środowisku naukowym z tym konkretnym osiągnięciem, a przy tym osoby te są także bezinteresownie zaangażowane w rozwiązywanie problemów naszego środowiska. Grupa ta tworzy się spontanicznie. Są wśród uczonych osoby, do których odruchowo przychodzimy po pomoc, kiedy potrzebujemy odpowiedzieć sobie na ważne dla nas pytania (niekoniecznie muszą to być pytania stricte naukowe). Często chodzi także o inne kwestie związane z uprawianiem badań, prowadzeniem kariery badawczej, funkcjonowaniem instytucji, w których działamy. Proces identyfikacji takich osób przebiega naturalnie – my sami dobrze wiemy, kto z nas jest dobry, a kto słaby naukowo, i jest to w niewielkim stopniu skorelowane z parametrami naukometrycznymi. Od osoby, którą możemy uznać za mistrza, oczekujemy nie tylko wiarygodności i kompetencji naukowej, ale także wysokich standardów etycznych. Poza sprawami fundamentalnymi, takimi jak uczciwość, odpowiedzialność, szacunek dla innych, mieści się w tym również wypowiedzanie się w imieniu naszej społeczności w sposób zrównoważony, ale też odważny, na tematy ważne dla całego społeczeństwa, a nie tylko naszej „bańki”. Takich osób – odważnych i jednocześnie mądrych, a zarazem, jak pisze profesor Piotr Sztompka, wykazujących się empatią i niedziałających z myślą przede wszystkim o własnej karierze, ale pomagających innym (czasami wbrew doraźnym społecznym czy politycznym interesom) – jest naprawdę niewiele. Jest to szczególnie trudne

w czasach tak dużej polaryzacji politycznej, jaką obserwujemy obecnie. Pamiętajmy, że politycy lubią zawłaszczać kolejne terytoria. Na przykład twierdzenie, że protest przeciwko likwidacji NCN jest aktem politycznym, a nie obywatelską troską o to, by agencje grantowe przyznawały fundusze na prowadzenie badań naukowych na podstawie kryteriów jakościowych, a nie politycznych czy regionalnych, jest w mojej ocenie próbą kneblowania otwartej merytorycznej dyskusji.

Do pełnienia roli autorytetu w swoim środowisku nie można się zapisać, czy zostać wybranym. Decyduje o tym sama społeczność, zwracając się do takiej osoby o pomoc lub poradę. Jestem zdecydowanie przeciwny drogom na skróty i przyjmowaniu z góry założenia, że przynależność do jakiejś korporacji (np. PAN) powoduje automatyczne zaliczenie do „elit”. Żyjąc już 70 lat, mogę powiedzieć, że spotkałem w takich dostojnych gremiach oportunistów, którzy nie chcieli się wychylać z własnym zdaniem (jeśli je mieli), na szczęście były to osoby nieliczne i bez znaczących osiągnięć naukowych. Niestety, zasiadające w takich gremiach osoby ze słabymi kompetencjami naukowymi mają tendencję do promowania również miernych postaci. Oczywiście korporacje PAN tworzą w większości osoby wspaniałe, które zaliczam do grona autorytetów. Mimo fatalnych początków Polskiej Akademii Nauk, instytucja ta powstała w okresie stalinowskim na gruzach Polskiej Akademii Umiejętności, członkami PAN zostały osoby, które w mojej dziedzinie naukowej były wybitne, na przykład prof. Wacław Gajewski, prof. Władysław Goldfinger-Kunicki, prof. Aleksander Koj, prof. Andrzej Tarkowski czy prof. Karol Taylor. Udział takich wspaniałych uczonych w PAN z czasem uwiarygodnił tę instytucję.

PAN potrafiła niejednokrotnie przeciwstawić się ostrym naciskom politycznym, zachować niezależność i promować dobrą naukę. Dzisiaj stoją przed nią nawet trudniejsze wyzwania. Mam nadzieję, że potrafi im sprostać.

MACIEJ ŻYLICZ

Fundacja na rzecz Nauki Polskiej

PAUza Akademicka - www.pauza.krakow.pl - tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.
Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzoskowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.

ROZMOWA O ELITACH

Elita i elity

Déformation professionnelle każe językoznawcy rozpocząć rozważania o znaczeniu słów od etymologii. Według słownika PWN, polski wyraz elita pochodzi od łacińskiego *electa (pars)*, czyli *wybrana (część)*. Według gramatyki nosi on nazwę „imiesłowu przymiotnikowego przeszłego biernego”. W normalnym języku oznacza to po prostu nacisk na efekt jakiegoś ukończonego procesu lub czynności; dokonano wyboru części większej całości. O ile owa część nie budzi wątpliwości – elita stanowi część społeczeństwa – o tyle status uczestników procesu jej „wybierania” wywołuje, szczególnie w ostatnich miesiącach i tygodniach, żywe dyskusje – nie tylko, i nie przede wszystkim – wśród językoznawców. Wybiera bowiem ktoś i wybiera kogoś; sam termin elita nie precyzuje, do kogo odnoszą się te zaimki, a ich nieokreśloność sprawia, że trudno precyzyjnie zdefiniować pojęcie, nietrudno natomiast przypisać mu różne znaczenia.

W skrajnych przypadkach myślowe meandry prowadzą badaczy elit do nonsensów; na przykład mówią o budzącym obecnie żywe emocje filmie *Zielona granica*, jeden z polskich europosłów stwierdził, że reżyserka filmu znalazła się „w elicie polskiego genu targowicy” – konia z rzędem temu, kto zdoła choćby w przybliżeniu zdefiniować tę elitę.

Czynnikami warunkującymi interpretację jest oczywiście czas – w minionych epokach znaczenie było przecież inne niż dziś. Ale ludzi, którzy nie zajmują się badaniem elit zawodowo, oczywiście najbardziej interesują znaczenia przypisywane temu pojęciu potocznie, tu i teraz. Nasuwa się zatem kilka pytań: Kto mianowicie został wybrany? Dlaczego wybrano właśnie tego kogoś? Według jakich kryteriów dokonano wyboru? I wreszcie, jaki był cel przedsięwzięcia? Szukając odpowiedzi, językoznawca prosi o pomoc kolegów z innych dyscyplin – z historii, kulturoznawstwa, socjologii. Ci zaś uznają, że elitę stanowią ludzie najlepsi w swojej dziedzinie – stąd mowa o elitach naukowców, sportowców, artystów itd. Dlaczego właśnie oni? Jak wiadomo, socjologowie wyróżniają szereg powodów: członków elity wybiera się *ex auctoritate et ex virtute*, a więc dlatego, że są dla wybierających autorytetem oraz wzorem zalet i cnót, ale także *ex domini gratia*, czyli „z nadania”: z inicjatywy innych osób, które przyznają „wybranemu” elitarny status i włączają go w poczet własnej elitarniej grupy. Tu powstaje pytanie o kryteria, które powinny być obiektywne, a – jak uczą doświadczenia naszej rzeczywistości – często bywają mniej lub bardziej subiektywne. Kryterium obiektywnym byłaby doskonałość – nie w sensie absolutnym, lecz w potocznym rozumieniu; „bycie najlepszym z możliwych”: doskonałość naukowca, artysty czy lekarza mierzona miarą kompetencji i osiągnięć w uprawianej dziedzinie. Często jednak – jak uczy życie – obiektywne kryterium doskonałości zastępuje użyteczność – pojęcie pragmatyczne, którego znaczenie jest otwarte i subiektywne; dana jednostka staje się członkiem elity *ex domini gratia*, ponieważ jest pożyteczna i ponieważ spełnia cele określone przez okazujących jej łaskę – w określonym kontekście społecznym lub politycznym. W tym miejscu pojawia się kolejne pytanie: po co społeczeństwu elity? Cytowany już słownik PWN podaje trzy takie potrzeby: autorytetów, rzeczników i przedstawicieli. Są to potrzeby społeczne, a więc wiążą się z nimi określone społeczne oczekiwania, o których pisał niedawno profesor Piotr Sztompka (PAUza 653).

Wyznaczniki dwóch ostatnich potrzeb nabierają szczególnej wagi w kontekście sytuacji społeczno-politycznych. Pierwsza natomiast jest szczególnie podatna na zmienne parametry, de-

finiujące system wartości i byt określonej wspólnoty istniejącej w danym społeczeństwie. Badania socjologiczne pokazują, że dla różnych społeczności pojęcie elity kształtuje się w oparciu o różne czynniki, choć jest to najczęściej władza i wysoki status majątkowy. A także inne cechy. Na przykład jako ilustrację młodzieżowego slangu internet podaje następujący dialog: A: *Widziałeś, jaką łaskę wyrwał Maciek?* B: *No tak, ale wiesz, to elita. Wszyscy go lubią, ma hajs, wygląd, studiuje medycynę* (<https://slang.pl/elita>). W opinii B Maciek należy do najlepszych w swoim środowisku. Szukając innych „najlepszych”, zajął się do Google’a. Okazuje się, że etykietą „elita” posługują się wytwórcy mebli (łazienkowych), właściciele hoteli (nadmorskich), hodowcy psów (rasowych), szkoły językowe (języka angielskiego) i sportowe (oferujące kursy narciarskie). Każda z tych instytucji definiuje elitarność na swój własny sposób. Jedna cecha jest jednak wspólna: elita jest dobra, a przynależność od elity jest pożądana. „Elitarne” meble zapewniają przynależność do elity właścicielom nowej łazienki.

Elita jest dobra. Ale elita bywa także zła, ponieważ ocena elity zależy od punktu widzenia i wobec tego jest z definicji subiektywna. Język publicystów, a także samych członków elit, dostarcza ostatnio licznych przykładów takiej nieobiektywnej aksjologii. I tak, dodany do elity cudzoziśloci zrobi dokładnie to, co jest jego zadaniem – staje się przekazem cudzego słowa: „dla was to może jest elita, ale moim zdaniem oni wcale nie są tacy znowu najlepsi”. Można poprzedzić elitę słówkiem pseudo: „może niektórzy, oraz oni sami, uważają, że są najlepsi, ale moim zdaniem to ściema”. Można „pseudoeelitę” osadzić w bardziej precyzyjnym kontekście i mówić o „dobrozmianowych pseudoeelitach”. Można wreszcie sugerować, że do statusu elity aspirują mieszkańcy „warszawki” i nazwać elitę „elytą”. To wszystko sposoby (ironicznego? złośliwego?) kwestionowania waloru elity, ale można posunąć się jeszcze dalej: kilkanaście lat temu członek elity politycznej wprowadził do języka polskiego określenie „łże-elity”, zarzucając elitom definiowanym według kryteriów odmiennych niż jego własne wrogie intencje i skłonność do insynuacji.

Elitą o niekwestionowanej aksjologii była do niedawna elita intelektualna, ponieważ nikt nie podważał wartości nauki i edukacji. Do czasu, gdy tę aksjologię odwrócił pewien prominentny członek ówczesnej elity politycznej, mówiąc o „wyszktałciuchach”.

Językoznawcę zainteresuje także liczba mnoga. Zdaniem Piotra Batko, autora hasła „Elita” w poradniku warszawskiego Towarzystwa Kultury Języka, choć „z formalnego punktu widzenia *elita i elity* nie różnią się znaczeniowo”, z użycia pluralis „część” wynika pejoratywne znaczenie”. Jak pisze autor hasła: „liczba mnoga rozmywa znaczenie, wprowadza nieokreśloność, a tym samym podejrzliwość”. Od podejrzliwości krok do pejoratywnej oceny – na przykład członków grupy nazywanej ironicznie „pseudoeelitą popkultury”; prawdziwą elitą jest oczywiście „elita kultury wysokiej”; poza tym prawdziwa elita jest jedna, „elyt” i pseudoeelit jest wiele, czyli gramatyka pozostaje w służbie aksjologii.

Różne elity, różnie oceniane przez różne wspólnoty, mają swoje własne racje bytu. Mają własne autorytety i reprezentują różne społeczności. Ale to elita polityczna zajmuje najwyższą pozycję w istotnych dziedzinach życia społecznego i to ona sprawuje władzę. Dobrze zatem, żeby była elitą w liczbie pojedynczej i żeby zasługiwała – jak najobiektywniej – na określenia „doskonała” i „prawdziwa”.

ELŻBIETA TABAKOWSKA

Uniwersytet Jagielloński (emerita)

Elity są różne

ROZMOWA O ELITACH

Poruszony apelem Redakcji i artykułem profesora Sztompki (PAUza, nr 653) przypomniałem sobie własne doświadczenia. Jako młody chłopiec zostałem przesiedlony (z rodziną) z małego miasteczka na Kresach Wschodnich do małego miasteczka na Opolszczyźnie, gdzie uczyłem się do matury w 1952 r. Jakie widoki na przyszłość mogłem mieć? Jakieś biuro, poczta, kolej? Z takiego myślenia wyrwali mnie tamtejsi nauczyciele gimnazjalni. Do dziś pamiętam lekcję botaniki, na której profesor P. opisywał mech płonnik, dzięki czemu zrozumiałem, że otaczająca mnie przyroda nie jest bezkształtną zieloną masą, lecz zbiorem jednostkowych, układających się w gatunki roślin i zwierząt. Historyk profesor G. przychodził zawsze z mapami i z pasją opowiadał o dawno żyjących ludziach, ich krajach i kulturach, uświadamiając nam perspektywę przeszłości sięgającą setek i tysięcy lat, i nasze głębokie korzenie. Geolog profesor G. opowiadał, że ziemia pod naszymi stopami jest żywa, liczy sobie parę miliardów lat i ma swoją historię. Polonista profesor W. uczył nas, że prawdziwe czytanie nie polega na łapaniu fabuły, lecz na wnikiwnym w głębsze pokłady i na przykładach nam to pokazywał, a jego analizy *Dziadów* pamiętam do dzisiaj. Wśród nauczycieli, którzy na mnie silnie wpłynęli, nie było matematyka (po maturze coś liczyłem, ale matematyki nie czułem) ani fizyka (inżynier dyktujący nam formułki, których nie rozumieliśmy), ale był jeszcze łacinnik, którego wpływ na mnie był bodaj największy. Ucząc nadobowiązkowej łaciny, dr K. wprowadzał nas w świat Grecji i Rzymu i przekazywał nam wielkość tamtych cywilizacji, z których wyrosła Europa. A w ostatniej klasie miał przedmiot „propedeutyka filozofii”, wsparty świetnym podręcznikiem Ajdukiewicza, który odsłaniał nam oszołamiące perspektywy ścisłego myślenia. To były elity, które wyrzuciły moje naiwne przedtem postrzeganie świata i pchnęły na drogę jego poznawania. Po maturze moim niezłomnym celem były studia na uniwersytecie!

Elity nauczycielskie nadal szczęśliwie istnieją, choć nie czują się dzisiaj najlepiej, ale myślę, że takie właśnie jest ich podstawowe zadanie: budzenie w młodym człowieku ciekawości świata i rysowanie perspektyw dalszego rozwoju. W moim przypadku, poza nielicznymi wyjątkami, zadanie to wykonały świetnie, za co im jestem bezgranicznie wdzięczny.

Po maturze trafiłem na dobry uniwersytet i na najlepszą wtedy na nim matematykę. We Wrocławiu moimi mistrzami byli

profesorowie ze Lwowa i Warszawy: Hugo Steinhaus, Edward Marczewski, Bronisław Knaster, Jerzy Stupecki i inni. Roczniki studenckie były wtedy nieliczne, obcowanie z mistrzami łatwe i naturalne. A dla mistrzów liczyła się tylko matematyka i jej adepci, którym starali się ją przekazać. To była elita inna, ale dzięki niej ukształtował się mój cel życiowy: już nie tylko poznanie, w moim przypadku matematyki, ale wstąpienie na jej służbę, jej rozwijanie i przekazywanie innym. Takie, w moim przekonaniu, jest zadanie elit profesorskich: ostatecznie ukształtowanie ciągle jeszcze młodego człowieka na dalsze jego życie. Także i tu dopisało mi szczęście.

Ale dość wspomnień, bo chciałem jeszcze dodać parę słów o elitach profesorskich. W takich czasach żyliśmy, że niektórzy profesorowie – w poczuciu szerszej odpowiedzialności – wychodzili ze swojej podstawowej roli i wypowiadali się w sprawach publicznych. Krytycznie nastawieni do władzy, pisali do niej listy otwarte, a nawet wchodzili w strukturę tzw. opozycji demokratycznej. Nie było ich wielu, ale ta garstka spełniała podstawowe warunki profesora Sztompki: miała niezależny od władz autorytet, poświadczany jej naukowym statusem i osiągnięciami, wypowiadała poglądy większej części (jak się niebawem okazało) społeczeństwa, które takiej możliwości wówczas nie miało, prezentowała wysokie morale, bo w imię sprawy narażała własne kariery itd. Odegrała dużą rolę, za co społeczeństwo odwdzięczało się, uznając w rankingach bardzo wysoki status profesora uniwersytetu i masowo wybierając profesorów do parlamentu i władz po przewrocie 1989 r. Były to złote lata tej elity, ale w tym zaangażowaniu krył się zarodek dzisiejszego spadku jej autorytetu. Zaangażowania mogą być różne i dzisiejsze opowiedzenie się niektórych profesorów po stronach zwalczających się plemion spolaryzowanego społeczeństwa, przy słabo słyszalnym głosie nawołującym do wyjścia z tego niszczonego konfliktu – odebrało elicie profesorskiej jej status niezależnego autorytetu. Może to i dobrze, że nie mają takiego statusu profesorskie głosy zwalczające krytyków lansowanej przez władzę polityki historycznej i głoszące poglądy inne, niekiedy wręcz nacjonalistyczne, ale to pokazuje, że tak bardzo nam potrzebnych odpowiedzialnych i niezależnych elit politycznych trzeba szukać gdzie indziej.

ROMAN DUDA

Uniwersytet Wrocławski

Powyborcza refleksja

ROZMOWA O ELITACH

W niedawno zakończonej kampanii wyborczej w samym Lublinie co najmniej trójka kandydatów chwaliła się stopniem doktora, a w całej Polsce prawdopodobnie było takich kandydatów o wiele więcej. Z pozorów to dobrze, bo zakładając, że doktorzy są (średnio) mądrzejsi niż niedoktorzy, rysuje się cień szansy, że oto będą nami rządzili mądrzy ludzie. Łączenie stopnia naukowego z kandydowaniem w wyborach jest jednak niepokojące, gdyż świadczy o lekceważeniu przez kandydatów przysięgi doktorskiej. Krzewienie prawdy (*magis veritas propagetur*) nijak nie da się połączyć z kampanią wyborczą, w której wszystkie partie licytują się na nierealne obietnice. Gdyby polityk powiedział prawdę, np., że nie wszyscy mogą zarabiać powyżej średniej krajowej lub że dobrobyt osiąga się ciężką pracą i wyrzeczeniami, to nie zdobyłby wielu głosów w wyborach. Świadome i oczywiste kłamstwo głoszone publicznie jest w moim przekonaniu bardziej rażącym złamaniem zasad etycznych obowiązujących uczonych niż plagiat, zaś brak reakcji środowiska naukowego

na lekceważenie zasad etycznych nie przysparza nam szacunku reszty społeczeństwa. Nie słyszałem o tym, by doktora-polityka spotkały realne przykrości ze strony środowiska akademickiego za publiczne głoszenie nieprawdy. Oczywiście można przysięgę interpretować w ten sposób, że prawdę należy głosić w publikacjach naukowych, a na zebraniach partyjnych można twierdzić, że Ziemia jest płaska, ale to jest dosyć karkołomna konstrukcja.

Czy zatem mamy wybór między zmianą roty przysięgi a pozwalaniem na jej łamanie ze wszystkimi tego konsekwencjami? Bo odbieranie stopni naukowych notorycznym kłamcom trudno mi sobie wyobrazić. Postuluję zupełnie inne rozwiązanie, zresztą stosowane przez wielu polityków w praktyce, a mianowicie niepodpieranie się w kampanii wyborczej stopniem doktora, tzn. dr Jan Kowalski występuje w polityce jako Jan Kowalski.

Wtedy rezygnuje z przewagi nad innymi kandydatami, jaką mógłby uzyskać dzięki doktoratowi, ale też nie hańbi stopnia naukowego swoimi kłamstwami.

MAREK KOSMULSKI

Politechnika Lubelska